NUMER 4. DNIA 26-go STYCZNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Pod Horodłem.

(Dok.)

Wtem Chruszczew: „Czort was woźmi! To jest pole,
A u mnie rozkaz nie puszczać was w miasto!
Strzelać! Jejbohu, ja wam nie pozwolę
W gorod!... No tu, nie gorod!“ — Odwrócił ceglastą
Twarz, konia szarpnął, ruszył, i na metę
Strzału stanąwszy, patrzał przez lunetę.

Widział nas dobrze teraz. Od zachodu
Tabor się cały wynurzył tymczasem
Z borów, i kupy tysiączne narodu
Na milę ziemi zajęły pod lasem.
Na zboczach rządny orszak, a u szczytu
Chorągwie, w ciszy bezdennej błękitu.

Chcieliśmy krzyż dać wysoki na wzgórze,
Proste berwiona choć zaciosać cztery,
Żeby go zdala widziało Zabuże,
Ale w obozie nie było siekiery.
Gdy wtem poleszuk jakiś do poręby
Skoczył, gdzie młode zrzadka stały dęby.

Plunął w garść, za pień, w ziemię zaparł nogi,
Spojrzał, gdzie drzewo wagę czubem bierze,
Łeb zniżył, jak tur, gdy nastawia rogi,
Pierś wciągnął, wygiął nazewnątrz pacierze,
Skurczył się, nagle wyprężył, pień ścisnął, —
Trzasnęło w ziemi, a dąbczak wyprysnął.

Poleszuk razem z nim się na wznak zwalił,
Lecz go nie puścił. Porwał się, stał chwilę,
Zaś od pnia pięścią gałęzie odsmalił,
Czub pod kolano wziął, przyłamał tyle,
Co na poprzeczkę, łykiem związał żywem
I krzyż przyciągnął. Patrzyliśmy z dziwem.

A już Horodło biło w wszystkie dzwony.
Ogromne jakieś jęki niemilknące
Za Bug się niosły, gdzie stały szwadrony
Kozackie, strzegąc przejścia, i tysiące
Ludu... Podole, Wołyń, Ukraina...
Bug wiązał oba brzegi, jako sina

Wstęga. Na niebie — żeby rąbek chmury!
Nic, tylko toń ta głęboka i modra, —
A pod nią cicho klęczące pagóry,
I woń ziół polnych, paszących im biodra,
I to głów morze, te fale narodu,
I te szeregi piechoty od wschodu,

Co obraz cały ten, stubarwny, złoty,
Linją bagnetów nagle zamykała,
Rotami stojąc. A pomiędzy roty,
Oficerowie, artylerja, działa.
I latające nad tem wszystkiem puchy
Jesienne w słońcu, i dzwonów wybuchy.

Tymczasem ołtarz ustawiono polny
Na wzgórzu, do mszy, jak przed bitwą bywa.
A wiatr się ruszył po trawach podolny,
I zaszeptała ziemia, jak pierś żywa...
Szept po dziewannach, po wrzosach się szerzył,
Aż wzmógł się, wzleciał, w chorągwie uderzył.

Chorągwie czoła zniżone w pokłonie
Przed Sanctissimum — wzniosły. Widok nowy!
Ile ziem, ile Województw w Koronie.
W Litwie i w Rusi, tyle nam nad głowy
Proporców szumi! Herby, godła, znaki,
Pogonie, orły białe, nasze ptaki

Królewskie! Zawrzał tłum. Kobiety łkały...
I żadne oczy bez łez tam nie były.
Bo oto wstawał Ojczyzny duch biały,
Żywy, ze swojej wiekowej mogiły,
Protestujący! Dojrzało Zabuże
Orły. Krzyk zagrzmiał, w Bug rzucano róże

Poprzez kozackie piki. Jakieś chłopię,
Drobny żak szkolny, przepełznął pod konie,
— Zielona gałąź, włosy jak konopie —
I w Bug! Chciał do nas... Podniosły go tonie,
Razem z tem kwieciem, na głębię. Tak płynął,
Trzymając gałąź w ustach, — aż mi zginął,

Nakryty wirem... Gołębiu ty biały,
Puszczony po przez moskiewskie zatopy.
Z gałęzią oliw! Tak-że ci to grały
Proporce, w piersi gniecionej przez popy,
Żeś się aż rzucił w nurt śmierci bezdenny?...
Gołębiu! Mały pośle bezimienny!...
. . . .

A już Kapucyn czytał w orłów szumie
Akt odnowionej Unji od ołtarza.
Lud dech zatrzymał. Spojrzałem po tłumie...
Pobladły twarze. Cichość — aż przeraża...
— Wielotysięczny tłum wre, — a nad głową
Słychać dzwoniącą piosnkę skowronkową!

Ksiądz czytał: „Siłą zbrojną otoczeni,
Pod wylotami dział, u śmierci proga,
Stwierdzamy Unję, na ziem tych przestrzeni,
Protestujący tu, w obliczu Boga
I ludów — przeciw gwałtowi rozbioru!“ —
A wtem krzyk: „Amen!“ — Od boru do boru

Grzmotnęły echa. A była w tym grzmocie
Moc piorunowej burzy! Chruszczew skinął.
Zagrały bębny, i rota po rocie,
Wąż się piechoty powoli w kłąb zwinął,
I nagle działa błysnęły odkryte...
Ksiądz czytał: „Wszystkie Ziemie Pospolite

I Województwa — pieczęcie swe kładą“. —
— Zaczem się chybnął tłum, ruszyły posły
Ku ołtarzowi dostojną gromadą,
A wkoło szmery szły i w okrzyk rosły:

— „Gdańsk!“ — „Malborg!“ — „Smoleńsk!“ —
„Inflanty!“ — wołano.
Poseł kładł pieczęć i zginał kolano,

Na Ewangelji oparłszy dwa palce.
Rota przysięgi żołnierska i krótka,
Jako przystoi ziemiom, co są w walce,
I na koń muszą, gdy zabrzmi pobudka.
Wtem gwar przeleciał szerszy wzgórzem całem:
— „Don!“, „Don!“ — wołano — „Don z nami!“ — Spojrzałam,

— To Podhaluzin! Przybył późno, w krytej
Cygańskiej bryce, Bug nocą przepławił,
By ziem dopełnić Rzeczypospolitej.
Teraz się strojny i błyszczący zjawił,
Brzęcząc ostrogą, a kołpak niósł w ręku.
Nad nim skwir orłów leciał, i wichr jęku.

Ten kładł ostatnią pieczęć na proteście.
W sygnecie ją miał takim, jak Pan Sawa...
Więc mi się zdało, że tu rękojeście
Szabel wnet szczękną, że się ta przeprawa
Przez Bug — nie promem skończy, ani brodem,
Lecz jakiejś starej chwały jasnym wschodem!

A ksiądz wzniósł ręce. Rozbłysnął akt biały
W słońcu, jak hostya. Z szumem się zniżyły
Sztandary przed nim, a jasne hejnały
Dzwonów — daleko z za Buga gdzieś biły...
Aż nagle, z obu stron buchnęło rzeki:
...„Boże, coś Polskę przez tak długie wieki“...
. . . .

Taką-m cię widział! Królewską, a polną,
Na podniesieniu mogił — całą w duchu,
Pod bagnetami stojącą, a wolną...
W orłów twych szumie i w hymnów wybuchu. —
Taką-m cię widział, Polsko! O, niech zgasną
Słońca nademną! Ty będziesz mi jasną!
. . . .

Niechże mi teraz złotą harfę dadzą,
Druidzką harfę, co ma głos echowy,
Na druidyczny kamień niech prowadzą,
A ja w pieśń zaklnę ten błysk piorunowy,
Co z wielkich godzin bije w piersi ludu...
I będę śpiewał pieśń, i czekał — cudu!

Piotr Surma.

NASZA IRREDENTA.

Z rąk Rosji zginął nasz byt polityczny. Odrywała ona od nas w końcu XVIII. wieku prowincję po prowincji, łączyła się z naszemi zachodnimi sąsiadami i, gdy brakło jej siły, używała podstępu. W walce z nami posługiwała się Rosja wszelkiemi zasadami: monarchizmu i republiki, bizantyznizmu i anarchji, możnowładztwa i demokracji. W rezultacie posiadła ona przeszło dwie trzecie ziem polskich, przeszło dwie trzecie ludności, zamieszkałej na ziemi dawnej Rzeczypospolitej. Wobec tego rzecz zrozumiała, że walka o nasz byt niepodległy, o warunki naszego rozwoju były i będą naszemi walkami z Rosją — z Rosją przedewszystkiem.

Ks. Kalinka nam wyrzuca, że po pierwszym rozbiorze zwracaliśmy się przeciwko Rosji, Lisicki, żeśmy w 1830 r. z nią walczyli. Koźmian, Przyborowski (Z. L. S.) i cała kohorta pismaków stańczykowskich nie może przebaczyć 1863 r. Podług naszych pisarzy moskalofilskich wykreślenie Polski z listy samodzielnych państw przez rozbiory końca XVIII w.; utrata Królestwa kongresowego, dążność Rosji do zagłady naszego bytu państwowego — oto skutki naszego błędu politycznego, ciągnącego się długiem pasmem walki z Rosją od r. 1772. Nie walka, lecz uległość wobec Rosji, oto rozum polityczny naszych ugodowców, a właściwie moskalofilów. Cóż jednak sprawiłaby ta uległość? Gdyby historja nasza od 1772 r. nie była historją naszego sprzeciwiania się dążności Rosji do pochłonięcia narodowości naszej, czyżby nasz byt narodowy nie był wątlejszym, nasza indywidualność narodowa mniej wyraźną? Czyż wobec Rosji Rzeczpospolita nie mogłaby stać się rosyjską prowincją, nie pozostawiając takich ogniw w naszym rozwoju, jak tradycje Konstytucji 3. Maja, Manifest połaniecki z 1794 r. o wolności osobistej chłopa, tradycje, które, nadwerężając klasowy egoizm szlachty litewskiej, zmuszają ją w rocznicę śmierci Kościuszki w 1818 r. do oświadczenia się za uwolnieniem chłopów. Czyż czynny protest przeciwko rozbiorom, czy legjony nie przyczyniły się do powstania Księstwa Warszawskiego, którego dalszym ciągiem było Królestwo Kongresowe? Jeżeli porównamy traktat potersburski z 1795 r., sankcjonujący trzeci rozbiór kraju, z traktatem 1815 r. to zobaczymy różnicę na korzyść naszej narodowości, zaszłą w ciągu lat 20. W pierwszym widać chęć wymazania narodu polskiego z grona żywych ludów, mocarstwa zaborcze unikają samej nazwy Polak, Polska — w drugim pewną chęć zagwarantowania bytu narodowości polskiej, aby ona mogła przeciwdziałać pochodowi Rosji w Europie; stąd zagwarantowanie konstytucji Królestwa, autonomji w innych zaborach oraz zobowiązania się do ułatwienia związku między zaborami.

Dają się nieraz słyszeć czułostkowe ubolewania nad tą krwią, którąśmy przelewali w szeregach Napoleona. Ale czyśmy nie mniej krwi przelewali w szeregach rosyjskich w Sewastopolu, pod Plewną, pod Szybką, czyżbyśmy jej jeszcze nie przelali więcej za obcą, za wrogą nam sprawę, gdybyśmy, jak chce ks. Kalinka, wzięli byli udział w wojnie tureckiej w 1790 r. lub gdyby, jak chce Lisicki, wojska Królestwa szły były na Turcję w 1829 r. lub też na Zachód niweczyć skutki rewolucji 1830 r. Historja pozbawiła nas hańby dobrowolnych niewolników, kajdany na innych nakładających, zostawiwszy nam wspomnienie walk, które odradzały Europę, niszczyły stare feodalne formy, aby z nich wyłonić się mogło życie nowe.

Konstytucja Królestwa była gwałconą, gdyż król polski, samowładny car rosyjski posiadał instynkt samowładny i siłę, jaką mu nadawała armja rosyjska. Zniknęłaby konstytucja polska, jak dziś znika konstytucja Finlandji. Zamiast stopniowego zaniku, zamiast upodlenia tych, którzy nie śmią walczyć o swe prawa, nastąpiło gwałtowne zniesienie konstytucj wskutek walki o nią, i nietylko o nią, ale i o lepsze warunki rozwoju, o kontynuowanie tego życia polskiego narodowego, jakie od wieków rozpoczęliśmy na Litwie i Rusi a które nam tyle duchowych i materjalnych sił przysparzało. Emigracja z 1831 r. — to czynnik, który nas natchnął bezpośrednią myślą społeczną i polityczną Zachodu, tą myślą, która przez swą sprzeczność ze stosunkami pańszczyźnianymi w zaborze austryackim i rosyjskim przyczyniła się do zniweczenia tych stosunków.

Fr. Smolka, Ziemiałkowski i inni przewódcy ruchu 1848 r. w Galicji, jej mężowie stanu wykształcili się politycznie w organizacjach rewolucyjnych emigracji. W imię warunków naszego rozwoju, w imię potrzeb wytworzenia naszego bytu państwowego, nasza myśl polityczna współdziałała w zniesieniu pańszczyzny i w uwłaszczeniu chłopów w Galicji i w zaborze rosyjskim.

Rozbudzając życie narodowe w Poznańskiem i Galicji, emigracja przeciwdziałała wynarodowieniu się tych prowincji. Z krwi, przelanej w 1830 r., wykwitła nasza poezja romantyczna; czem bylibyśmy bez niej? — O jak ogromną ilość uczuć, przez nią spotęgowanych, o ile myśli na gruncie tych uczuć zrodzonych bylibyśmy biedniejsi bez wpływu emigracji, bez wpływu romantyki, jak odmiennie i niewyraźnie zarysowałaby się nasza indywidualność! Bylibyśmy, jak tyle innych ludów, materjałem etnograficznym, czekającym pochłonięcia przez Rosję.

Czy Mickiewicz i Słowacki są winni, że wywołali powstanie polskie 1863 r.?

— Winni, ale ze względu na talent zasługują na pobłażanie. — Oto formułka wyroku, w który da się wtłoczyć sąd adwokata petersburskiego, p. Spasowicza o naszej romantyce, o Mickiewiczu i Słowackim.

Naród jednak czci Mickiewicza nietylko za jego talent, ale za kierunek jego talentu, za to, że to był poeta walki z niewolą i przez to zbawił nas od upodlenia niewolą.

Czcimy naszą romantykę w poezji, bo była ona ściśle związaną z irredentą w polityce, a wybitnem ogniwem tej polityki jest powstanie 1863 r. Stało się co się stać musiało. W braku odpowiedniego zasobu naszych sił ulegliśmy przemocy, lecz dzięki temu, że rozbiory zastały w nas pewną ilość sił niespożytych i nie zniszczyły ich dzieje powstania, walczyliśmy i walczyć będziemy w przyszłości.

Nie 1830/1, nie 1863/4 wzbudzać winny poczucie żalu do naszych ojców, ale lata 1828/9, 1854, 1877, kiedy siły Rosji były pochłonięte walkami zewnętrznymi z powodu kwestji wschodniej, a ojcowie nasi nie mogli, czy to wskutek niedostatecznego napięcia uczuć, czy z niedocenienia znaczenia momentu politycznego, czy to wskutek przerzedzenia się szeregów najlepszych z nich, czy wogóle z braku bojowego przygotowania uderzyć na Rosję.

Nie ulega wątpliwości, że lepiej by było, gdyby wybuch powstania nie nastąpił w 1863 r. ale w chwili ze względu na sytuację polityczną dla nas bardziej sprzyjającej. Ale, twierdzę stanowczo, że lepiej, że ono odbyło się w 1863 r., niż by miało nieodbywać się w wieku XIX. Twierdzę to, choć miałem wielokrotnie sposobność przypatrzyć się zblizka naszym byłym uczestnikom powstania i przyszedłem do przekonania, że wśród nich było wielu ludzi, którzy zaszczyt ludzkiemu rodzajowi przynoszą, ale wielu z nich zmarniało. Hygieniczne życie wiejskie dawało im fizyczną dzielność. Bohatyrowicze Orzeszkowej z „Nad Niemnem“, cała liczna zagrodowa szlachta w zaborze rosyjskim, to zabytek tej samej rasy dzielnej, która zasiliła powstanie. Rasa ta nie znikła, ale nie jest rasą bohaterów, bo bohaterów rodzi moment historyczny, bo powstanie wyolbrzymiało swych uczestników do rozmiarów bohaterstwa.

Uprzytomnijmy sobie okres przedpowstaniowy, okres przedmanifestacyjny.

Taki Traugut i tyle innych pięknych postaci naszego powstania dobrowolnie krew przelewają za Rosję, w walce Rosji z Europą.

Następuje panowanie Aleksandra II. Przyjeżdża ten car do Warszawy 22. Maja 1856 r. i oznajmia, że panowanie jego będzie dalszym ciągiem panowania Mikołaja I., a panowie urządzają mu wspaniałe przyjęcie, Warszawa wita go z entuzjazmem. Car oburza się, gdy w tym samym roku Napoleon w spotkaniu z nim w Stuttgardzie, „śmie mówić o Polsce“, a po powrocie cara ze Stuttgardu, Warszawa przyjęła go z jeszcze większym entuzjazmem, tak, iż car nawet twierdził, że w Moskwie lepiej by nie był witany.

W 1858 r. z powodu sprawy tzw. dernowickiej, prośby do cara chłopów, pozornie nawróconych na prawosławie, aby im wolno było pozostać przy unji, zbito chłopów rózgami, zbito do omdlenia felczera Wincentego, który im ową prośbę napisał i żonę jego brzemienną, która z powodu egzekucji poroniła. W grodzieńskiej gub. we wsi Porowcowej umierali pod rózgami unici, w tym samym roku.

Gdy car w tym roku przybył do Wilna, urządziła mu arystokracja polska pyszne przyjęcie. Odyniec napisał wiersz na cześć cara: „spadkobiercy Jagiellonów“.

Cała ta akcja carofilska nie wywołała w kraju żadnego protestu; głos Klaczki, który napiętnował ten postępek literatów wileńskich jako odstępstwo, ledwie dochodził do kraju.

Jeżeli od lat kilku, od śmierci Aleksandra III. pp. Bloch, Górski, Wielopolski Zygmunt i inni podejmowali u nas akcję ugodową, to dziś nie ma to takiego demoralizującego wpływu na społeczeństwo, jak w dobie przedpowstaniowej. Dziś społeczeństwo zdemokratyzowało się i kierunek polityczny jego wyższych warstw, arystokracji i plutokracji, nie rozstrzyga w takim stopniu o kierunku panującym w społeczeństwie, jak dawniej.

Ślady akcji ugodowej przedpowstaniowej, gdyby nie były z uczuć i myśli naszego społeczeństwa zmyte krwią rozlaną w 1863 r. przeobraziłyby nas w Moskali, mówiących po polsku.

Czy akcja moskalofilska, podjęta w pierwszych latach panowania Aleksandra II. w Warszawie i w Wilnie przez arystokrację, mogła uzyskać jakie znaczne narodowe koncesje? Odpowiedź twierdzącą da ten tylko kto sądzi, że prawa wytańczyć można na balach dworskich. My wiemy, że prawa zdobywają się siłą i bezpłodność polityki dworskiej jest dla nas widoczną.

Zobaczmy też co mówią fakty. Jeżeli na początku XIX. st. nie widzimy konsekwentnej polityki rządowej na Litwie i Rusi dla zmoskwicenia tych krajów i widzimy tam takie ogniska cywilizacyjne jak Uniwersytet wileński, jak Szkoła krzemieniecka, to pochodziło to tylko stąd, że świadomość narodowa Moskali była zbyt słabą, aby mogła występować agresywnie. Lecz już za czasów mikołajowskich rządów wzrosła ta świadomość, wytworzyła się szkoła słowianofilów, idealizująca kulturę rosyjską, wszelkie pierwiastki cywilizacji wschodniej, rosyjskiej i wrogo odnoszącej się do kultury zachodu. Słowianofile byli idelogami i propagatorami polityki rusyfikacyjnej w zaborze rosyjskim. Pod ich wpływem był wydany ukaz z 1855 r. o zaprowadzenie rosyjskich urzędników na Litwie, oni propagowali prześladowanie Unji. Generał gubernator wileński Nazimow był wychowańcem słowianofilów. Lawina moskiewska posuwała się na ziemie polskie. W sprawie koncesyj rządowych w Królestwie widzimy fakt charakterystyczny, jeżeli porównamy żądania, wyrażone w niedoszłym adresie z 1856 r. z późniejszymi adresami i przedłożeniami Wielopolskiego.

W pierwszym nie śmiano żądać, aby język polski stał się urzędowym w Królestwie, później mówiono o konstytucji z 1815 r. i rząd już czynił znaczne ustępstwa. Petycje, prośby i przedstawienia ugodowe mogły wówczas mieć skutek wobec rządu, gdy huczało i szumiało niezadowoleniem w społeczeństwie, gdy czuć było, że wytwarzają się siły do walki o byt i rozwój narodowy.

Reformy Wielopolskiego upadły, on sam przyczynił się do zniweczenia ich, popychając przez brankę do przedwczesnej walki orężnej te siły, ze względu na które rząd udzielał koncesji. Upadku reform Wielopolskiego nie uważamy za klęskę. Reformy te nie załatwiały najważniejszej kwestji, włościańskiej. Uwłaszczenie włościan jest największą zasługą powstania 1863. Wielopolski był za oczynszowaniem chłopów i sprzeciwiał się ich uwłaszczeniu. Na pierwszym posiedzeniu w sprawie włościańskiej komitet Towarzystwa rolniczego uchwalił oczynszowanie włościan tak, że tylko przez skup czynszu zapomocą operacji finansowej zostaćby oni mogli właścicielami gruntów. Ostateczne i stanowcze uregulowanie kwestji odkładano więc na dłuższy czas i przez to pozostawiono rządowi sposobność wmieszania się w sprawę włościańską i załatwienia jej odpowiednio do polityki rosyjskiej w Polsce. Przeszło parę tygodni, wypełnionych wrzeniem rewolucyjno-narodowem i 27 lutego, gdy na ulicach Warszawy odbywały się demonstracje, Towarzystwo rolnicze przyjęło projekt Tomasza Potockiego o uwłaszczeniu chłopów.

Rząd narodowy w styczniu i w marcu 1863 wydał dekret o uwłaszczeniu włościan. Dekret marcowy, opatrzony, jako sankcją, karą cielesną na właścicieli ziemskich, którzy opieraliby się uwłaszczeniu, wywarł silne wrażenie na lud wiejski. Historyk powstania Berg podaje, że włościanie coraz częściej zaciągali się do szeregów powstańczych, szczególnie w województwach płockiem, mazowieckiem i radomskiem.

W więzieniach Królestwa w 1865 r. znajdowało się 1363 chłopów uwięzionych za powstanie.

„Buntownikom — mówi memorjał Milutina — udało się spełnić część swych obietnic, powinności spełniane przez włościan ustały prawie wszędzie. Wobec tego rząd carski widział się zmuszonym uwłaszczyć chłopów w Królestwie, gdyż nie mógł dać im mniej, niż dał im Rząd narodowy“.

Dzięki powstaniu 1863 r. chłopi nie tylko w Królestwie, ale w całym zaborze rosyjskim byli uwłaszczeni na lepszych warunkach, niż we właściwej Rosji. Przyrost naturalny ludności w różnych prowincjach tego państwa w pierwszem dwudziestoleciu po uwłaszczeniu zależał od warunków uwłaszczenia. W ziemiach polskich był znacznie wyższy z powodu lepszych warunków uwłaszczenia. Ponieważ te lepsze warunki były wywołane powstaniem, na powstaniu zarobiliśmy jak obliczyłem w mojej ekonomji ze dwa miljony ludności. Powstanie 1863 było więc olbrzymiem zaoszczędzeniem życia ludzkiego.

„Podnieście trochę chłopa, oświećcie cośkolwiek, poduczcie, a znajdziecie w nim najlepszy materjał rewolucyjny, materjał, jakiego napróżno poszukiwali menerzy powstańczy. Dla powodzenia powstania potrzeba takich ludowych żywiołów, nie zaś tych, które wychowały się po domach i domkach szlacheckich“ — pisze historyk powstania 1863 r. moskal Berg.

Czy mamy już ten żywioł? Jeszcze go mało, ale się u nas wytwarza, a początek dał mu w zaborze rosyjskim rok 1863.

Dziś posiadamy już w szeregu wrogów rządu nie szczupłe garstki inteligencji. Rośnie też świadomość narodowa w masach chłopskich, wytwarza się bojowe pogotowie do przyszłej walki.

Wł. Studnicki.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

I.

— Wszelki duch!... wyrwało się z ust pana Ambrożego Berwicza.

Jechał on właśnie koło krzyża, ną rozstajnej drodze, przecinającej trakt poleski, szerszy od koryta Dniepru, którego błękitne wody, widać było hen za wsią, za moczarami.

Krzyż ten spruchniały, obrosły tarniną, ogrodzony płotkiem, równie jak on starym, od dawna chylił się do upadku a od ostatniej burzy, jedno nadłamane ramie, zdawało się prosić ludzi o ratunek. Ludzie poratowaliby go chętnie, postawiliby nawet z całej duszy na miejsce starego nowy pięknie malowany, lub murowaną figurę, tem bardziej, że wiązała się z nim ważna pamiątka. Cóż, kiedy krzyżów, ani odnawiać, ani naprawiać nie wolno. Albo to już raz z tego powodu, były w różnych wsiach śledztwa, więzienia, kary, jak gdyby stała się jaka straszna zbrodnia. Obchodzono więc tylko krzyż zdaleka, czekając z trwogą, aż go kiedy wicher przewróci.

Teraz jednak krzyż był równie czarny a nawet zdawał się tak samo mchem porosły, jak dawniej, ale jak gdyby podtrzymywała go niewidzialna ręka, stał prosto i otwierał szeroko dwa równe ramiona, dla wszystkich spracowanych, znękanych, cierpiących.

Ten to widok wywołał mimowolny okrzyk pana Berwicza. Spostrzegł jednak szybko, że zdziwienie jego było co najmnej niepotrzebne; nie dokończył słów zaczętych, bo nie chciał zwracać uwagi Hrycia, który nie potrzebując poganiać koni, czujących dom i kłusujących raźno, mógł drzemać na koźle i nie spostrzedz zmiany, jaka w krzyżu zaszła.

Ale Hryć zdziwiony tak samo, jak pan jego, zdjął czapkę, zapomniał włożyć ją napowrót, odwrócił się na koźle i wlepił oczy w Berwicza, jakby chciał zapytać o to, co się stało.

Berwicz udał, że tego nie widzi i zaczął pilnie wytrząsać krótką fajeczkę, chociaż była pusciuteńka.

— Musi, Pan Jezus sam poratował, wyrzekł Hryć, niby pytając, niby twierdząc.

Tłumaczenie podobało się Berwiczowi.

Musi, Pan Jezus, powtórzył z przekonaniem. Wszystko w Boskiej mocy.

Zdjął czapkę, przeciągnął się po raz drugi ale na twarzy osiadł mu frasunek, którego tam wprzód nie było, zbiegły mu się krzaczyste brwi i uwydatniały zmarszczki, jakie krajały jego twarz kościstą, powleczoną skórą ciemną, spaloną od dżdżu, słot, może bolów namiętnych. Białe brwi i białe zawiesiste wąsy, odcinały się od twarzy, tworząc na niej wyraźne plamy. Nos orli i głęboko zapadłe oczy nieokreślonego koloru, dopełniały charakterystyki starego szlachcica. Jechał on teraz zafrasowany i targał wąsy, niespokojną ręką, która nigdy zapewne nie zaznała zbytku rękawiczki.

Na początku wsi stała cerkiew drewniana obok niej ciągnęła się popowszczyzna, którą otaczał sad gęsty. Gdy pan Berwicz koło niego przejeżdżał, ujrzał słomiany kapelusz nad splątanymi kosmykami włosów prawosławnego popa Jedniewicza, sterczący nad splotami dzikiego chmielu i zielska obrastającego ogrodzenia. Jedniewicz patrzał na drogę, jakby kogo wyglądał.

Pan Berwicz chciał udać, że go nie widzi, odwrócił głowę i splunął, ale pop odezwał się powitaniem, — musiał na nie odpowiedzieć. Nie zatrzymał się przecież, nierad z spotkania, tembardziej, że dostrzegł w Jedniewiczu widoczną chęć rozmowy. Dopiero, gdy zostawił za sobą popowszczyznę, przyszło mu na myśl, że może pop wiedział coś o tym krzyżu, że należało go wybadać a kto wie, czyby się nie udało go ugłaskać. Tymczasem sposobność minęła. Pomyślawszy o tem, Berwicz zaklął półgłosem, wymyślając samemu sobie od głupców i warjatów.

Dwór oddzielał ode wsi i cerkwi kawałek pola, za niem stały zabudowania gospodarskie, otaczające obszerny dziedziniec folwarczny. Hryć skręcił w aleję ze starych lip, prowadzącą do dworu, gdy ujrzał zdaleka dwie jasne postacie i obrócił się na koźle, mówiąc:

— Panienki.

— Stój, stój! —zawołał Berwicz.

I nie czekając, aż konie przystaną, z młodzieńczą żywością wyskoczył z bryczki i szedł wielkimi krokami ku dziewczętom w jasnych sukniach, które ze swojej strony zobaczyły go także. Młodsza leciała ku niemu z rozpostartemi rączkami i wołała.

— Berwiś! Berwiś!

I jednym susem skoczyła staremu na szyję, a on porwał ją w pół i uniósł w górę, jak piórko. Mogła mieć lat z piętnaście. Starsza siostra była już zupełnie dorosłą a nawet miała na twarzy powagę dziwną na swój wiek; ale ona także serdecznie uściskała starego.

— A czy Berwiś przywiózł mi z Rzeczycy wszystkie sprawunki? spytała młodsza.

— Czyż to ja kiedy zapomniałem o sprawunkach Jadzieńki?

— I niebieską wstążeczkę Berwiś kupił?

— Kupiłem, a takoż paciorki dla Naści, chustkę dla Paraski, buty dla Michałka.

Wyliczał całą litanję drobiazgów, któremi go panny obarczyły.

— Berwiś dobry, zawsze o wszystkiem pamięta — odezwała się starsza siostra — a my nadużywamy.

— Bożeż ty mój, co Marynia mówi.

— Alboż to nie prawda — powtórzyła z przymileniem — alboż Berwiś nie dobry? ma tyle ważnych spraw na głowie, a przecież i o naszych pamięta.

— Tak, tak, wołała młodsza, Berwiś taki dobry, taki dobry..,

Szukała porównania, i spojrzawszy na jego olbrzymi wzrost, dodała uradowana.

— Taki dobry — jak duży. Patrz Berwisiu, ja ci zaledwie dostanę do łokcia.

Śmiała się, przytulając do starego, a on śmiał się także, zapominając o wszystkich frasunkach.

— Jadzieńka jeszcze mała, niedawno była takim ot maleńkim robaczkiem, a teraz jak już wyrosła.

— Ho! ho! tylko patrzeć, a będzie taka duża...

— Jak Berwiś? Nie chcę, to za wiele.

— Co tam ja. Będzie Jadzieńka duża, jak babunia. Taka do niej podobna. —

W głosie jego zadźwięczała tkliwość prawie kobieca, której trudno było się po nim spodziewać.

Zdawało się, że za poruszeniem tych chudych ramion, tych twardych goleni, usłyszy się chrobot, jak za poruszeniem szkieletowych kości.

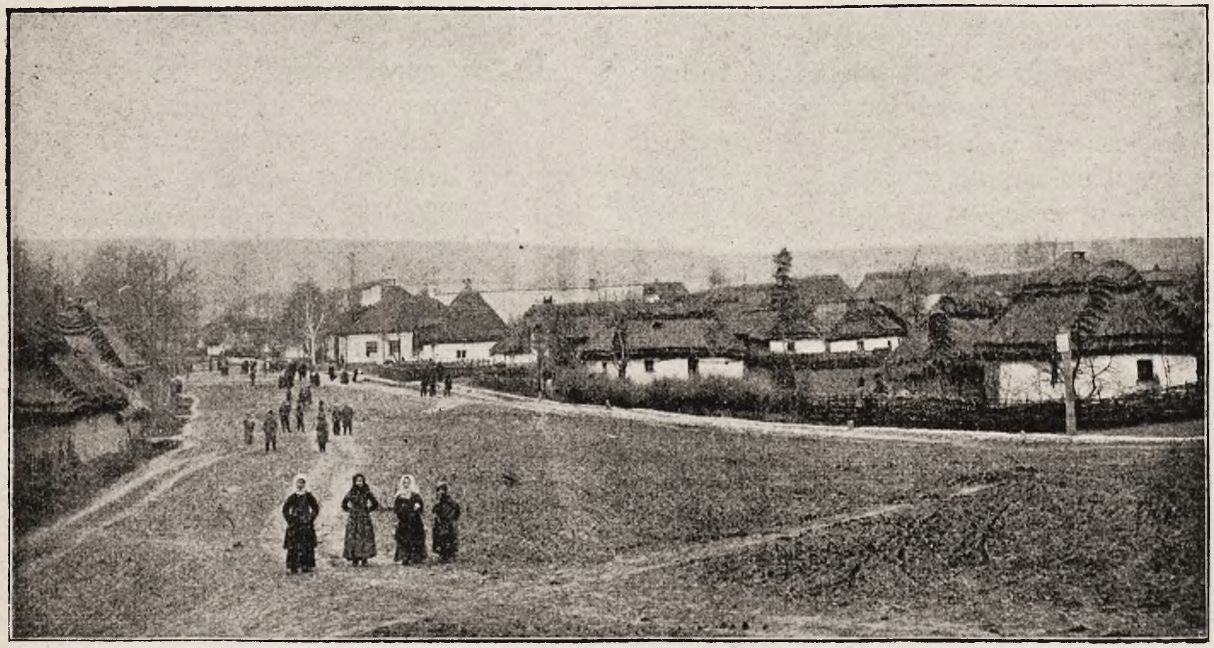
Wiek Berwicza trudno było określić, bo kiedy jeszcze w czasie powstania zjawił się w Malińcach, w partji Brzeszcza, wyglądał prawie, jak dzisiaj. Tylko wąsy i brwi z czarnych zrobiły się białe, włosy z czaszki opadły i na niej przybyła ogromna kresa z czasu, gdy w jakiejś potyczce zasłonił Brzeszcza własnem ciałem przed szablą

dragona i uratował mu życie.... Cóż, zasłonił go od szabli, nie zasłonił od kul. Berwicz ciężko ranny, leżał ukryty w budzie wśród puszczy, pod strażą wiernego towarzysza broni, gdy dowódcę jego schwytano w parę tygodni później także rannego i rozstrzelano na miejscu, bez sądu. Berwicz oddalony był od miejsca jego śmierci o mil kilka, nie miał pojęcia o tem, co się działo z partją, a przecież w samej chwili egzekucji, zerwał się nagle na swoim barłogu i krzyknął wielkim głosem, że słyszy strzały, widzi krew buchającą z piersi Brzeszcza... Przysięgał potem na krucyfiks, że słyszał i widział.

(C. d. n.)

Plac Mickiewicza we wsi podolskiej.

Nie ma chyba miasta w naszym kraju, w któremby nie było jakiegoś placu, jakiejś ulicy ochrzczonej nazwiskiem największego narodowego poety. Ale mało komu naprawdę wiadomo, że



Plac Mickiewicza we wsi Łoszniowie.

jest nawet wieś, w której plac nosi nazwisko Mickiewicza. I nie należy przypuszczać, ażeby wieś owa zdobyła się na taki plac Mickiewicza pod wpływem sąsiedztwa wielkiego miasta, jednego z ognisk narodowej umysłowości. Przeciwnie wieś ta, Łoszniów znajduje się na Podolu galicyjskiem, mianowicie w powiecie trembowelskim, należącym za czasów dawnej Rzeczypospolitej do Województwa Ruskiego.

Jak sama Trembowla związana jest z narodem polskim jednem z najwspanialszych naszych wspomnień historycznych, tak i Łoszniów wraz z powiatem do którego należy, związanym jest z cywilizacją polską historycznie i etnograficznie. Powiat ten bowiem zamieszkały jest w połowie przez ludność polską i ruską.

Wyjątkowość Łoszniowa stanowi to, że zbiegiem szczęśliwych okoliczności ludność daleko

postąpiła w oświecie. To też nazwa: plac Mickiewicza nie jest dla Łoszniowian pustym dźwiękiem, symbolem bez treści.

„Lud w Łoszniowie — pisze p. Aleksander Bayger w cennej swej monografji o powiecie Trembowelskim*) — chętnie garnie się do człowieka oświeconego, rad jego słucha uwag i w praktyce je przeprowadza. A więc stara się ulepszyć swoje gospodarstwo, wprowadza udoskonalone narzędzia rolnicze, wiąże się w kółka rolnicze, zakłada sklep chrześcijański i ruguje ze wsi kilka sklepików żydowskich, wzrasta w dobrobyt materjalny, a znając wartość oświaty i ceniąc ją, wydaje 16 tysięcy zł. na budowę szkoły 30 tysięcy na kościół, 15 tysięcy na cerkiew i to wszystko w ciągu lat kilku. Oto, co z ludem naszym zdziałać może dobroczynny a szczery wpływ oświeconych przyjaciół!"

W takiej wsi mogą już rozumieć Mickiewicza o tyle, żeby słowa jego:

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy".

uważać za pragnienie spełnione, choć nie literalnie, ale za to w najgłębszem słów tych znaczeniu.

Niektórzy przedstawiciele ideałów „pracy organicznej", w powieści naszej
z ostatniej ćwierci XIX. w.

(Dok.)

Do znamiennych postaci, wytworzonych za sprawą, rozpowszechnionych w społeczeństwie naszem, ideałów programu pracy organicznej, można jeszcze zaliczyć wszelkich „Australczyków" i „Argonautów", których charakteryzowaniu oddawała się głównie E. Orzeszkowa.

Ponieważ program ten zachęcał, nadewszystko, do gromadzenia materjalnych dostatków, jako pierwszego obowiązku społecznego, sankcjonował przez to samo poszukiwanie ich na wszelkich drogach — wszędzie, gdzie się zdarzy sposobność ich zdobycia.

Kto się przekonał, że w kraju własnym może zdobyć sobie tylko na chleb czarny, a pragnął przy tem gorąco „pasztetu" — jak się wyraża Orzeszkowa — ten wynosił się z kraju i, szedł poszukiwać pasztetu, pomiędzy obcych — głównie, w głąb Rosji na Syberję, gdyż są to ziemie obiecane. Wytworzył się, tą drogą, legjon „Australczyków", których niepotrzebnie autorka przejmuje skruchą i nawraca na prawych synów kraju ojczystego, gdyż są to nieliczne wyjątki.

*) „Powiat Trembowelski" szkic geograficzno-historyczny i etnograficzny. Zebrał nauczyciel ludowy Jan Aleksander Bayger. Lwów 1899.

Przeciętny „Australczyk", już tak bardzo nie wyrzuca sobie wyemigrowania do Rosji, w celu zdobycia „pasztetu", — nie dręczy się śmiertelnie tęsknotą do ziemi rodzinnej i, wspomnieniom błogosławionej młodości, nie zbyt daje się oplątywać. Widzieliśmy ich, jak porozrzucani po obszarach cesarstwa, gdy zdobyli upragniony „pasztet" i zasmakowali w nim, nie bardzo się trapili zmorą opuszczonej ojczyzny, a w pogodzie ducha i zdrowiu moralnem, używali nagromadzonych dostatków i — jakoś godzili się z losem...

„Pasztety" zdobywają się trudno, tracą się zaś łatwo, a kto raz się do nich przyzwyczaił, temu chleb czarny kraju rodzinnego nie zbyt się uśmiecha. A kto chce być w zgodzie z sobą i z programem pracy organicznej, dźwigającej z upadku żywioł polski, ten z sentymentami powinien zerwać. Niepotrzebnie więc niemi ożywia swoich „Australczyków" Sz. autorka. Znaczna część „Australczyków" obywa się bez nich. Owszem, przejmują się podziwem dla potęgi fizycznej państwa, pod którego osłoną czują się bezpieczni i mogą w spokoju oddawać się gromadzeniu dostatków; poczuwają się do uczuć wdzięczności względem kraju, który im ich nie

odmówił, no i, jak najwymowniej, rozprawiają o zbrataniu się i pojednaniu z jego społeczeństwem, zapominając o tem, że z niego wychodzą, rok rocznie, czarne masy łupieżców, co ich własny kraj, ich ojczyznę rabują i obdzierają z tych bogactw, które im właśnie się należały.

Tem wszystkiem wszakże „Australczyk“, opakowany „pasztetem“, jak najmniej się rozrzewnia.

Przypatrzmy się jednej postaci, która zakwitła i dojrzała w społeczeństwie naszem, w okresie przewagi interesów i zabiegów materjalnych, poziomo-utylitarnych, nad dążeniami szerszemi i bezinteresowniejszemi, dotyczącemi lepszej przyszłości narodu. Okres ten poszczycić się może tą postacią wybitną, gdyż uosabia ona niezwyczajną sprawność i karność władz ducha, niepospolitą konsekwencję działania, i to w tej sferze, której życie napiętnowane jest rozluźnieniem, odznacza się niesfornością woli i chaosem myśli.

Mam tu na względzie niezrównanego p. Zygmunta Podfilipskiego.

W okresie kiedy wszyscy właściwie z jego sfery — p. Zygmunt aczkolwiek nie należał do tego stanu, który w Niemczech nazywają *„grosse Adel“*, wśród niego jednakże dostąpił najwyższego uznania — spragnieni byli samolubnego użycia i wyzyskiwania bytu ze strony natychmiastowych rozkoszy, nie mając odwagi zerwać szczerze, z wszelkiemi obowiązkami społecznemi, tradycją obowiązującą wielkie rody historyczne; wśród tego rozdwojenia, co sprawę używania nieraz, oficjalnie bodaj, utrudniało — zjawił się typ człowieka śmiałego, wytrawnego i bezobłudnego, który z całą otwartością powiadał „swoim“: jesteście marni, niezdatni do sprawowania czynności pożytecznych ogółowi, pragniecie w głębi duszy tylko używać, bawić się i czas zabijać, pozbawieni jesteście instynktów społecznych, tymczasem wszelkie konwenanse, tradycje rodowe i t. p., obłudnie przez was przyjęte, krępują was w tem wszystkiem... Z istotą rzeczy dawnoście rozbrat wzięli, zerwijcie więc nareszcie z jej formą, przestańcie używać połowicznie, gdyż — wierzajcie mi — te wasze konwencjonalne i tradycyjne czynności, jakie pełnicie z przymusu w społeczeństwie, nie warte są funta kłaków, i tylko oszpecają was. Was obowiązuje jedna tylko rzecz, z którą nie bardzoście się liczyli, a to, by używanie wasze, było s t y l o w e, wytrawnie zorganizowane, pozbawione cech chamskiej żywiołowości. W tym kierunku możecie dużo pożytecznego zrobić, możecie sami się wydoskonalić i być wzorem dla innych; na tem polegają wasze obowiązki społeczne, do innych bowiem nie macie ani przekonania, ani zdolności. Kto zaś o nich jeszcze rozprawia, ten jest małoduszny, albo podlega jałowym złudzeniom.

Tak przemawiał do sfer sportowo-arystokratycznych czcigodny p. Zygmunt Podfilipski. Nie wiem czy wszyscy stamtąd go usłuchają — odważniejsi chyba — bądź jak bądź jednak, nie jednemu trafi on do przekonania... W każdym razie jednak jest on doskonałym, świadomym siebie i rzeczy, przedstawicielem ukrytych instynktów i skłonności „towarzystwa“ naszego, którym ciężą wszelkie tradycyjne role i zobowiązania, a obłuda konwencjonalna nie pozwala, w całej wspaniałości wystąpić. Jest on streszczeniem ewolucji „ideałów“ tej sfery, u której kwitnął i zażywał poważania, — jest genjalnym organizatorem życia w celach użycia. Ale nie tylko tem. P. Zygmunt potrafi być genjalnym mnożycielem środków użycia, słowem mężem czynów obywatelskich, tym, co rozwija zasoby materjalne kraju. On ze swoją wytrawną, przenikliwą naturą i pozbawionym jałowych złudzeń umysłem, potrafi nauczyć swoich współbraci, za cenę jakich uczuć i przekonań, można wyjednać u rządu majoraty, koncesje na przedsiębiorstwa przemysłowe, — on zbrata arystokrację rodową z plutokracją, on przekona sentymentalnych o konieczności „ugody“, ustępstw i pojednania się z losem, a wszystko to w celach użycia, by sfery sportowe mogły godnie kraj reprezentować, rzetelnie rozkoszować się życiem i sumienia swego nie udręczać jakiemiś tam przypomnieniami przeszłości, tradycyjnych obowiązków i t. p. zużytych formułek.

III.

Oto mamy przed sobą szereg postaci, może zbyt zaokrąglonych przez wyobraźnię twórczą, może w niejednem dających więcej, znów w innem mniej, niż nam to daje rzeczywistość konkretna, cała mnogość zjawisk życia naszego społeczeństwa. Bądź jak bądź, należą one do tej rzeczywistości, były nadto wykołysane rozmaitemi „dumkami i szumkami“ t. zw. pracy organicznej, hasłami jej podniecały się w swoich zamiarach i planach.

Szereg postaci różnych, z których każda jednakże, mniej lub więcej, wierzyła w możność osiągnięcia szczęścia osobistego, zaspokojenia swoich pragnień serdecznych, rozwinięcia swojej istoty, nawet w tych warunkach niedostatecznych, w tej atmosferze dusznej, która otacza życie nasze. Im się zdawało, że tam nawet, gdzie narodowi, jako istocie duchowej, brak szerszego oddechu, oni jednakże potrafią nieźle się urządzić, potrafią, pomimo wszelkie braki i upośledzenia społeczne, istnieć, nie odczuwając ich, nie trapiąc się niemi. A zdawało się im tak dlatego, że do szczęścia swego chcieli dochodzić samotnie, bez względu na ogólny bieg spraw narodu własnego, na ogólną możność osiągania szczęśliwości. A do tego punktu wyjścia samolubnego upoważniały ich programy pracy społecznej, doktryny polityczne, wyrosłe na gruncie pracy organicznej.

Jedni, z pomiędzy nich, widocznie lepsi, albo psychicznie bogatsi, po nieudanych próbach, po zawodach i rozgoryczeniach przekonali się, częściowo choćby o tem, że w upośledzonych warunkach, nie łatwo się zdobywa szczęście osobiste, zaczęli więc wychodzić z zaczarowanego koła wysiłków organicznych, zaczęli mglistej przyszłości tęsknoty swego ducha powierzać, albo powracać na dawniej zajmowane stanowiska, nic wspólnego z utylitaryzmem nie mające.

Nie wzięli z nim rozbratu tylko pogodnie cyniczni, wytrawni sybaryci, albo dobrodusznie zadowoleni z siebie i ze swoich ograniczonych zdolności do zdobywania materjalnych dostatków. A nie wzięli rozbratu dla tego, że dusze ich albo były znieprawione do rdzenia i świadomie siebie w rozluźnieniu utrzymujące, albo były beznadziejnie poziome i płytkie.

Naprzeciw nim wysuwa się inny zastęp postaci — istny legion tebański — wziętych z życia naszego i twórczości naszej. Oto przed nami w aureoli cierpień narodu naszego, na tle bladej zorzy nieśmiertelnych nadziei naszych, smutny, i zbolały, lecz hartowny i ofiarny, szereg tych, co nigdy ani na chwilę, nie chcieli uwierzyć, by możliwem było szczęście osobiste, wówczas, gdy go nie ma w ojczyźnie.

Oto znużone drobnemi utarczkami i zabagnionem życiem na prowincji, przeświatłe duchy Dr. Piotra Siłaczki, Raduskiego, Dr. Judyma wreszcie; tu znowu z tajg Sybiru i nieogarnionych puszcz jakuckich, wychodzą spiżowe postaci Pawła, Aleksandra i t. p. co — w rozpaczy tragicznej — najlepsze młode lata i siły, przeznaczone własnemu narodowi, poświęcali szczytnie dzikim braciom — Jakutom; gdzieindziej znowu wyjrzy blada, żałośnie zmartwiona twarzyczka dziecka polskiego, które ginie ze smutnem poczuciem, że to życie jego jest pasmem udręczeń i szarpania się beznadziejnego. I stoją, te wszystkie postaci, zbolałe i dumne, z sercem ściśniętem i myślą wyniosłą, i patrzą z żalem na te uzbierane dostatki, na te siły wyzwolone, na rozwój rzekomy i odrodzenie pozorne kraju ojczystego, patrzą na te nikłe rezultaty i fałszywe obietnice i mówią: czyż warto było znieprawiać siebie i oszpecać duszę własną — dla tak nędznych plonów? Czy godziło się przedewszystkiem, samolubne instynkty i dążenia uprawniać świętą pracą dla dobra ogółu — interes osobisty utożsamiać z ogólnym? czy godziło się korzyść jednostki okupywać znieprawieniem tłumów?

Wstyd Ci — Polaku!...

W. J. Gryf.

W OBOZIE JANKOWSKIEGO.

(Z niewydanych pamiętników.)

(Dok.)

Konie poczęły strzydz uszyma... Podoficer Marcin podbiega do mnie i mówi:

— Panie poruczniku!... Słychać turkot jadącego wozu od strony Zwolenia...

Kazałem oddziałowi stanąć w pogotowiu na miejscu, a sam wysunąłem się naprzód dla obserwacji.

Istotnie nadjechała długa, ciężko naładowana bryka, zaprzężona w trzy konie. Wytężyłem wzrok i spostrzegłem w niej kilkunastu jadących żydów, drzemiących i kiwających głowami, furman także spał — konie wlokły się leniwo.

Błysnęła mi myśl szczęśliwa!...

Gwizdnąłem na towarzyszów i w jednej chwili wóz został otoczony przez piętnastu jeźdźców. Bryka stanęła.

— Zkąd jedziecie? — krzyknąłem gromkim głosem.

— Jesteśmy kupcy zwoleńscy, jedziemy do Puław i Lublina za handlem — odrzekł mi jeden z żydów, który widocznie nie spał, gdy inni, rozbudzeni tak nagle, milczeli wylęknieni.

Zauważyłem, że odpowiadający miał długą, siwą brodę, wyraźnie odbijającą się od czarnej jego opończy.

— A kto ty jesteś? — spytałem starego żyda łagodniejszym głosem.

— Jestem rabin zwoleński.

— Rabin zwoleński?... A!... to dobrze!... Jak się nazywasz i dokąd jedziesz? — pytałem, aby mówić, zbierając tymczasem myśli do ułożenia dalszego planu postępowania.

— Nazywam się Hersz Zukiert, jadę do Puław, do moich dzieci.

— Dobrze, panie rabinie! Pojedziemy razem, proszę wysiąść z bryki!... A wy — mówiłem, obracając się do wylęknionych żydów — powracajcie natychmiast do Zwolenia. Potrzebujemy żywności dla tysiąca ludzi i pięciuset koni, po dwa funty mięsa i trzy funty chleba na człowieka, oraz sto korcy owsa. Jak daleko stąd do Zwolenia?

— Pięć wiorst — odmruknęli żydzi.

— Za godzinę będziecie w Zwoleniu, dwie godziny czasu daję wam na zgromadzenie żywności i naładowanie jej na wozy. Wydobyłem repetjer i, nacisnąwszy sprężynę, mówiłem dalej:

— Teraz godzina jedenasta. Za trzy godziny możecie już z żywnością z miasta wyjechać, a najdalej na czwartą rano być tutaj, w tem samem miejscu, gdzie my na nią oczekiwać będziemy.

Żydzi poczęli szwargotać pomiędzy sobą swoim niezrozumiałym żargonem. Rabin zwrócił się ku mnie.

— Po co ja mam pozostać? — pytał z obawą.

— Jako zakładnik!... — rzekłem silnym, podniesionym głosem — że moje żądania ściśle wykonanemi zostaną, i że żywność na czwartą godzinę rano punktualnie dostawioną będzie.

To mówiąc, kazałem Marcinowi zapalić latarkę, wydobyłem pugilares, a pokazawszy żydom znajdujące się w nim pieniądze — mówiłem:

— Oto pieniądze... widzicie, że mam czem płacić... Daję wam pięćset złotych zadatku, a resztę należności dopłacę po cenach targowych... Nie zapomnijcie przywieść odpowiedniej ilości kaszy, grochu i soli... Ale! — słuchajcie dobrze — jeżeli żywność na czas oznaczony nie przybędzie, to wiecie, że teraz czas wojenny... że zmuszony będę wykonać na zakładniku wyrok śmierci, i wykonam niezawodnie — kończyłem dobitnym głosem.

Zerwał się straszny krzyk, rwetes i lament między żydami... Rabin wrzasnął, jęknął i począł zawodzić płaczem, jak małe dziecko. Chciał coś mówić, przerwałem mu.

— Nie chcę nic słuchać, tylko dam dobrą radę. Oto nie traćcie lepiej drogiego czasu, a zawracajcie natychmiast do Zwolenia, bo czas drogi a nasi ludzie i konie pomęczeni i głodni. Tutaj na miejscu żywności nie dostaniemy, ani w takiej ilości, ani tak prędko jak od was... Jedźcie!... bo zapowiadam wam po raz ostatni, że, jak na czwartą godzinę żywności mieć nie będę, wasz rabin bez miłosierdzia zostanie rozstrzelany lub powieszony... wybór śmierci zostawię jego woli. Zawracajcie konie natychmiast!... — krzyknąłem groźnie.

Kilku żydów wysunęło się do rabina i poczęli szybko szwargotać, a jeden z nich przyjął mój zadatek trzesącemi się rękoma... Nierozumiejąc ich mowy — z kilku jednak pokaleczonych wyrazów niemieckich — odgadłem, że starali się zakładnika uspokoić zapewnieniem, że żywność na czas będzie... Rabin płakał i ściskał odjeżdżających. Kazałem zaraz dla większego zaakcentowania mojej groźby, związać mu w tył ręce i zasłonić oczy... Żydzi łkając i zawodząc w niebogłosy, z gorączkowym pośpiechem zawrócili wóz, usiedli, zacięli konie i szybko odjechali.

Z za krzaków leśnych wysunął się nasz stary przewodnik, ale ledwie go poznałem, tak był zmienionym, miał wąsy uczernione, długie swoje włosy schował pod czapkę, a twarz pomazał jakąś farbą. Odsunęliśmy się od żyda, który i tak nie był zdolnym słyszeć, co koło niego mówiono, drżał bowiem i dygotał całem ciałem, jakby go silna febra trzęsła... nawet płakać już nie mógł z wielkiego przerażenia, tylko przytłumione, chrapliwe rzężenie wydobywało mu się z gardła. Ze wstrętem patrzałem na ten brak odwagi duchowej w człowieku, żadnego współczucia nie mo-

gąc w sobie odszukać dla tej moralnej nędzy, jakiej przykład dopiero pierwszy raz w życiu widzieć mi się zdarzyło.

Przewodnik oznajmił mi że okoliczni mieszkańcy nic o ruchach Moskali nie wiedzą, że słyszeli całą scenę z żydami na trakcie i są najmocniej przekonani, że cały nasz oddział, stanął obozem pod Chechłami.

Puściliśmy się skrajem lasu przy samym trakcie do wsi Załazy, gdzie przybyliśmy w niespełna godzinę. Jechaliśmy przez wieś wolno, aby dać możność wybiegającym na nasze spotkanie psom, do jak najgłośniejszego oszczekiwania naszego przechodu, kierując się przy tem drogą, wiodącą ku Chechłom.

O pół mili za wsią, wśród lasu, postanowiłem dać ludziom i koniom konieczny wypoczynek. Kazałem rozpalić ognisko i przygotować kilka stosów drzewa po różnych stronach lasu, gotowych do podpalenia w razie potrzeby; zarzuciliśmy koniom na głowy worki z owsem, a rabinowi rozkazałem zdjąć zawiązkę z oczów, i rozwiązać ręce. Żyd, tak był sparaliżowany strachem, że, choćby go puszczono, nie byłby w stanie nawet kilkunastu kroków ujść o własnej sile.

Przybyło do nas kilku gospodarzy włościan; ci sami z dobrej woli przynieśli świeżego siana dla koni, a dla nas nabiału, w zamian za co poczęstowaliśmy ich cygarami.

Wszystko literalnie stało się tak, jak przewidział i rozporządził nasz nieoceniony dowódca Jankowski. Minęła godzina dwunasta, potem pierwsza, wybiło już w pół do drugiej na moim repetjerze, a Moskale nie pokazywali się wcale... Wsiedliśmy znowu na posilone i wypoczęte konie, rabina kazałem odprowadzić do miejscowego pachciarza, z surowem zaleceniem, aby go pod osobistą odpowiedzialnością pilnował, aż do naszego za dwie godziny powrotu. Oświadczywszy wieśniakom, że jedziemy wprost do Chechł na spotkanie naszego głównego oddziału, puściliśmy się przez lasy na prawo ku Puławom, trzymając się wciąż zbliska głównego traktu, dla obserwowania drogi i mogących się ukazać kozaków.

Posuwaliśmy się ostrożnie i wolno, bo gdyby nas kozacy spostrzegli, bylibyśmy przygotowani raczej cofać się nazad, lub przebywszy trakt lubelski, szukać na drugiej stronie własnego ocalenia, aby dać czas głównemu oddziałowi do przeprawy przez Wisłę.

Przez Klikawę przeszliśmy po trzeciej godzinie z rana, gdzie dowiedzieliśmy się, że oddział nasz kwadrans temu tamtędy przechodził. O dwie wiorsty od Wisły czekała z zegarkiem w ręku tylna placówka, która nas odprowadziła do rzeki. O czwartej płynęliśmy wszyscy szczęśliwie Wisłą z biegiem rzeki, kierując się ku północnej stronie Puław.

Płynęliśmy w głębokiem milczeniu. Brzask dzienny powoli obielał przedmioty, a mgła poranna gęstymi kłębami zawisła nad żółtemi wodami Wisły, jakby nas chciała utulić i ukryć. Płynęliśmy w siwej-mlecznej atmosferze mgły, przez którą nie było widać nietylko Puław i brzegów rzeki, ale nawet obok płynących na kilku promach i łodziach — towarzyszów moich... I tu doznawałem tych samych wrażeń i uczuć nieskończoności, jakie mnie przejmowały na trakcie orylskim w kozienickich lasach... Tam, nieskończoność nocy — tu nieskończoność mgły nieprzeniknionej, ponadwodnej, białej mgławicy, przez której wilgotne, blado-perłowe tumany z trudnością przebijały się szaro-żółtawe brzaski wschodzącego, letniego słońca.

Regularny plusk niewidzialnych wioseł, połączony z kroplistym szmerem spadającej z nich wody, cichy szmer fal wspaniałej rzeki, usposabiały do smętnych marzeń... Tylko krzyki wodnego ptactwa tłumionem przeze mgły echem rozdzierały powietrze, lub słychać czasami było parskanie koni, strząsających z siebie poranną rosę. Wiatr południowy lekko musnął po powierzchni wód, mgły powoli poczęły rozrzedzać się i opadać, promy i łodzie z ludźmi i końmi z białych obłoków tumanu wynurzać, brzegi rzeki i dalsze widoki stawały się coraz więcej wyrazistemi, złote światełka słoneczne poczęły tu i ówdzie malować wierzchołki drzew, ubarwiać lasy i ziemię, iskrzyć się po falach wiślanych, aż słońce z całą siłą swojej wspaniałej potęgi wyszło z za lasów, rozpędziło mgły, oblało jasnemi smugami promieni nasze milczące znużone twarze, ogrzewając miłem ciepłem pomoczone pochodem i zziębnięte od chłodu porannej rosy członki. Nasz dowódzca dał znak i za chwilę popłynął po wodach Wisły, jak nadzieja ku niebiosom, tęskny i uroczysty śpiew wieszcza z Czarnolasu:

„Kiedy ranne wstają zorze“...

. . . .

* *
*

Marzenie naszych bojów.

Jest jedna nitka, która się plącze przez cały, stuletni okres walk narodowych, marzenie wszystkich wodzów polskich i tych wszystkich, których dusza urosła ponad chwilę współczesną i jasno widziała, że na nic strategja i plany wojenne, jeżeli się w nie ludu nie wciągnie wiejskiego, jeżeli się powstania nie oprze na szerokich podstawach.

Raz za Kościuszki, broń wiejska chwałą się nieśmiertelną okryła — a to było na początku powstań naszych, potem na polach Grochowa i innych wojny listopadowej; — wreszcie za bojów styczniowych, potrzeba ludowego powstania nagłą się stała, tak serdecznie i szczerze nagłą.

Rząd narodowy stanął na niwie ludowej, ogłosił uwłaszczenie.



Trochę zapóźno już było, ale jednak wczas jeszcze, aby szczere słowo szczery znalazło oddźwięk w sercach ludu wiejskiego. Faktem jest, że w Królestwie i na Litwie jednostki szlachetniejsze z pośród ludu spieszyły na plac boju, że lud żmudzki naprzykład garnął się masowo do powstania.

Marzenie się tęskne nie ziściło na razie, ale nadzieja została na przyszłe czasy i dalsze boje.

Rycina nasza jest marzenia tego ucieleśnieniem. Parobczak wiejski w stroju ułana polskiego: Mój Boże! parobczaków takich tysiące, tysiące ruszyć było można, a wtedy armja straszniejsza od... gromu.

Ten wiejski parobczak, którego fotografję zaczerpnęliśmy ze zbiorów p. Jarosława Pieniążka, znalazł się w obozie Langiewicza, a zdjął go z natury, w obozie, Walery Rzewuski, znany fotograf krakowski.

I z tego właśnie względu, jak niemniej i dlatego, że jestto jedno z bardzo nielicznych oryginalnych zdjęć powstańczych, zasługuje ta fotografja na bliższą uwagę. Wiadomo bowiem, że w czasie wojennym o fotografje trudno, stąd też i wszystkie prawie wyobrażenia scen z powstania pochodzą z czasów późniejszych i są reprodukcjami tylko rysunków z pamięci. Rycina, którą tu podajemy należy do nielicznych wyjątków, a, jako zdjęcie z natury, pamiątką jest autentyczną i ucieleśnieniem niespełnionego marzenia... naszych bojów.

Z PIŚMIENNICTWA.

KSIĄŻKI. *Impresje.* Stanisław Barącz. Lwów, Księgarnia polska 1902. Wymieniony w tytule autor jest pozbawionym wzroku od dzieciństwa, mimo to bierze czynny udział we współczesnym ruchu literackim i artystycznym. Sam gra na fortepianie i skrzypcach, nie omija żadnego ważniejszego koncertu, ani przedstawienia w teatrze, a lektor czyta mu wszystkie głośniejsze nowości literackie, polskie i obce. Oprócz tego zna pan Barącz osobiście ważniejszych przedstawicieli „Młodej Polski“ a z członkami jej ekspozytury we Lwowie utrzymuje nawet przyjacielskie sto-

sunki, gromadząc ich ustawicznie do koła siebie. W ten sposób może on czerpać u źródła swoje wiadomości o tych wszystkich uczuciach i myślach, które stanowią współczesne artystyczne podniety.

Nie podnosiłbym takich czysto życiowych okoliczności — pozostawiam to sylwetkarzom — gdyby nie to, że znajomość ich tłómaczy istotę wierszy składających się na zbiorek wymieniony w tytule. Wszystkie bowiem utwory zawarte w „Impresjach“ są po większej części powtórzeniem, albo uczuć samych, albo sposobu ich odczuwania, zaczerpniętych z współczesnej literatury, czyli jak to Niemcy nazywają, *Nachempfindungen.* P. Barącz albo podaje rzeczy jemu podane, albo reprodukuje własne przejścia w sposób, podany mu przez współczesnych. Są to więc przeważnie chwile codziennego życia, które autor chce nakreślić bądź to wedle wywołanego przez nie nastroju, bądź podkłada pod nie różne dowolne znaczenia. Oryginalność tych wierszy — z wyjątkiem fragmentu prozą „Dzień ostateczny“ który się całkiem nie udał i tłumaczenia z Wiktora Hugo „Ogień niebieski“ — polega na tem, że wszystkie powleczone są jakby ciemnawą mgłą, ktora tłumi siłę wielu opisów i nadaje im szczególne zabarwienie, jak gdyby cichej tęsknoty. P. Barącz, nie mogąc, jako ciemny, kontrolować swojego wyobrażenia o rzeczach, widzianych przez drugich, hamuje się, a luki wypełnia tęsknotą za światem, niejako rezultat dumań w wiecznej ciemności, ożywianej tylko wrażeniami reszty zmysłów i ruchami wyobraźni, podniecanej opowiadaniem drugich.

Oczywiście, że w kombinacji z barwnością świata daje ten refleks dumań w osamotnieniu ciemności tylko szarość, ale zarazem stwierdzić należy, że te impresje w których on wydobywa się silniej, są najlepsze ze wszystkich. W tych kilku wierszach jest tak sporo nastroju, wynikającego z odrębnych warunków, w jakich żyje autor, że gdyby dał się mu zupełnie wydobyć, to utwory jego nabrałyby daleko więcej wartości. Raz dlatego, że wogóle każdy utwór jest tem lepszy, im więcej autor umie być sobą. Powtóre, że w tym specjalnie wypadku, musiałoby to jeszcze silniej wpłynąć na oryginalność utworów. Wszakże p. Barącz musi mieć cały ogromny świat myśli i uczuć, wynikający wprost z tej krzywdy fizycznej, jaka wyrządzoną mu została pozbawieniem go wzroku. Z tego wszystkiego, jakby się wstydził, świadomie nie daje nic; woli konstruować za drugimi wrażenia, zabarwiając je tchnieniem indywidualnem o tyle tylko, o ile mu się to wyrywa nieświadomie. Chce koniecznie przedstawić świat tak, jak ci, którzy go widzą, podczas gdy dałby daleko więcej nowego, gdyby dał go tak, jak go czuje i słyszy, jak o nim myśli, ale — nie widzi. Byłoby w tem mniej zewnętrznych, lokalnych barw, a zato więcej głębokiego myślowego i czuciowego ujęcia. *S. W.*

*

Szkice literackie. Tretiak Józef Dr. Kraków. Spółka wydawnicza polska 1901. Tom II.

Druga serja „Szkiców“ przyniosła dziesięć prac, drukowanych dawniej w czasopismach perjodycznych. Obok rozpraw, przynoszących nowe rezultaty badań, napotkać tu można także prace czysto informacyjne, sprawozdawcze, oraz przedruki recenzji.

Na czele napotykamy dwie prace „O dramacie staroindyjskim“ i „Kalewala, epopeja fińska“. Zarówno pierwsza, traktująca o utworach Kalidasy, Sudraki i Bhawabutiego, jak i druga, jest tylko szkicem, skreślonym na podstawie badań obcych uczonych, szkicem, wypełnionym przeważnie szczegółami dramatów staroindyjskich i Kalewali. Zważywszy bardzo szczupłą ilość prac, tyczących się literatur obcych u nas, przyznaćby trzeba, że oba te przedruki byłyby potrzebne, gdyby autor był je zastosował do dzisiejszego stanu nauki. Prace te, pisane przed laty dwudziestu, są obecnie mocno przestarzałe, wiele teorji w nich rozwiniętych, okazało się dziś nieprawdziwemi. Skąd też pożytku z nich czytelnik nie odniesie, nauka bowiem dziś mówi w wielu wypadkach co innego, aniżeli omawiane rozprawy.

Z kolei następuje sumienna rozprawa p. t. „Obrazy nieba i ziemi w Panu Tadeuszu“, uzupełniająca znakomicie dawniejsze prace tego rodzaju Gostomskiego (Przyroda w „Panu Tadeuszu“) i St. Witkiewicza (Mickiewicz, jako kolorysta). Dalsza rzecz p. t. „Powieść historyczna“ jest właściwie recenzją „Olbrachtowych rycerzy“ Z. Kaczkowskiego i „Veto“ Krechowieckiego. Dwa ostatnie rozdziały tej pracy przynoszą ocenę wymienionych powieści; w rozdziale pierwszym autor zastanawia się, jaką wogóle może mieć wartość powieść historyczna i jaką ona być powinna. Zdaniem prof. Tretiaka prawda psychiczna jest rzeczą główną powieści i od niej zależy większa lub mniejsza wartość tego rodzaju utworów. Prawdę zaś tę psychiczną osiągnąć może każdy, kto zna dzisiejsze ludzkie namiętności i żądze, bo te nie ulegają zmianie.

„Dawna pieśń żołnierska“, wydana z rękopisu muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, pochodzi z wieku XVII. i okazuje, że powstała w pewnej mierze pod wpływem „Pieśni Świętojańskiej o Sobótce“ Jana Kochanowskiego, co autor udowadnia licznemi zestawieniami. Udowodnił nadto Dr. Tretiak w tej pracy, że „duma“ musiała powstać między rokiem 1585 a 1648 i że została napisana na Ukrainie przez jakiegoś żołnierza. Praca p. n. „Ignacy Krasicki, jako prezydent trybunału“, przynosi nowe szczegóły na podstawie materjału rękopiśmiennego z Muzeum ks. Czartoryskich.

„Studjum o Kraszewskim“ jest obszerną recenzją dzieła Dra P. Chmielowskiego. „Na jubileusz Asnyka“, to artykuł okolicznościowy w trzydziestą rocznicę twórczości poety. Jest to niejako próba syntezy poezji Asnyka.

Serję tę kończą dwa referaty. Pierwszy z nich p. t. „Rodzimość i wpływ obcy w literaturze“ traktuje o wzajemnym stosunku tych dwu czynników i o walce ich ze sobą w różnych czasach. Drugi p. t. „Podział historji literatury polskiej na okresy“, był czytany na III. Zjeździe historyków polskich w Krakowie, gdzie wywołał obszerną dyskusję. *St. Zdziarski.*

PISMA. *Wisła,* miesięcznik geograficzny i etnograficzny, wydawany z częściowej zapomogi Kasy pomocy im. Mianowskiego, pod redakcją Erazma Majewskiego. Rok 1901. Tom XIV. z 10 tablicami i 43 ilustracjami. Warszawa. 1901. 8-ka, str. 1 nl. X i 796.

Niepodobieństwem jest zaznajomić czytelników, chociażby pokrótce, z zawartością pokaźnego rocznika tego czasopisma ludoznawczego, gdyż sprawozdanie nasze rozrosłoby się do zbyt wielkich rozmiarów. To też lepiej i korzystniej będzie, jeśli zastanowimy się z ogólniejszego punktu widzenia nad „Wisłą“, bo może w ten sposób wydatniej ukażą się wady i braki, jakie na przyszłość winnyby być usunięte, jeśli „Wisła“ ma postępować i rozwijać się, ażeby z czasem dosięgnąć chociażby tego stopnia doskonałości, na jakim stała za czasów redaktorstwa zasłużonego językoznawcy i etnografa, Dra Jana Karłowicza.

Że pismo, omawiane przez nas, nie zdołało utrzymać się na tej wyżynie, na jakiej je postawił Karłowicz po latach dwunastu ciężkiej pracy, kiedy trzeba było przełamywać trudności, piętrzące się bez miary, kiedy musiało się walczyć z niedostatkiem prac i współpracowników, kiedy nakoniec trzeba było ciągle uczyć nasze społeczeństwo, co to jest etnografja i przekonywać, że to nauka, bez której nie obejdzie się dziś ani historyk, ani prawnik, ani badacz dziejów ojczystego piśmiennictwa, że — powtarzamy, — poziom „Wisły“ obniżył się znacznie z chwilą usunięcia się Karłowicza od redakcji, tego nie godzi się kłaść na karb winy nowej redakcji, która z pewnością dokładała wszelkiego starania i pracowała z zaparciem się siebie. Wina tego wszystkiego leży w innej stronie. Ogół społeczeństwa, czytającego pisma poważne, nauczył się wprawdzie, po pewnym przeciągu czasu, że ludoznawstwo — to nauka ważna, chroniąca resztki pierwotnej naszej kultury od zagłady, że nauka to u nas młoda, rozwijająca się powoli, ale nie uczuł moralnego obowiązku popierania „Wisły“ materjalnie. To też, kiedy Karłowicz ustąpił, nadeszła chwila, która groziła „Wiśle“ śmiercią z powodu braku funduszów. Prenumeratorów było niewielu, zapomoga Kasy im. Mianowskiego była skąpa, a pismo wymagało ilustracji i ulepszeń pod względem strony zewnętrznej. Słowem — końce nie schodziły się. Dopiero na wielki gwałt, jaki cała prasa warszawska jednogłośnie podniosła, przybyło trochę prenumeratorów. Byt materjalny „Wisły“ polepszył się nieco.

Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach wartość naukowa pisma musiała się obniżyć. Redakcja, licząc się ze sferą umysłową prenumeratorów, musiała zamieszczać rzeczy pisane popularnie, nieraz po dyletancku zebrane materjały ludoznawcze, to też cały ten niemal rocznik przepełniony jest zbiorami surowca — pieśni, podań, legend i wierzeń ludowych. Prac syntetycznych, regestrujących to lub owo w etnografji, wyciągających z dostępnego materjału, a tego jest spora ilość, pewne naukowe wnioski, prac takich — powtarzamy — napotkać można w omawianym roczniku „Wisły“ stosunkowo mało. Do rzędu takich należą rozprawy D-ra Jana Karłowicza p. t. „Najnowsze kierunki badań mitologicznych“ na podstawie znakomitej pracy J. Krála, Ignacego Radlińskiego „Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie“, D-ra Władysława Olechnowicza „Rasy Europy i wzajemny ich stosunek dziejowy“, L. Rutkowskiego „Gościccy Papaje w świetle podań szlacheckich“ i Romualda Łazęgi „Powiat Brodnicki“. Po za tem napotyka się co krok drobiazgi mało wartościowe lub też zbiory materjałów folklorystycznych, trzymające się podań i pieśni ludowych, odwiecznym sposobem Chodakowskiego. Jak widać z nazwisk autorów, są to przeważnie nowicjuszki i nowicjusze w etnografji. Świadczy to bez wątpienia nader korzystnie o zainteresowaniu, jakie wzbudziła „Wisła“. Jeśli jednak ci nowi współpracownicy chcą istotnie rzetelnie przysłużyć się nauce, niechaj pamiętają, że mamy niemniej ważne, a więcej zagrożone pomniki twórczości ludowej, aniżeli pieśni i podania, niechaj więc ratują od zagłady przesądy i zabobony wieśniacze, architekturę ludową, strój, narzędzia domowe i gospodarskie, gwarę chłopską. Na to wszystko bowiem nastaje ostry ząb czasu i z każdym rokiem czyni w nich ogromne szczerby. Przepada więc dla nauki wiele charakterystycznych materjałów, których później nie odnajdziemy. Niepowetowanych szkód dla ludoznawstwa nie nagrodzą pieśni ani legendy, których mamy bardzo znaczną już ilość. Trzeba ratować to, co ginie w oczach, co wymaga bacznej uwagi. Nakoniec jeszcze słowo. Nie każdy ma ku temu sposobność, ale wielu jest w tem wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że mieszka stale na wsi. Oby więc ci, którzy mogą, zechcieli pamiętać, że najlepiej przysłużą się etnografji, jeśli dadzą jej zupełną monografję jednego powiatu, jednej choćby tylko wioski. Będzie stąd dla nich chluba, a dla nauki wielki pożytek. A do tego potrzeba tak niewiele, tylko odrobinę dobrej woli i chęci.

Jaka jest przyczyna wskazanego wyżej braku prac syntetycznych w „Wiśle“, tego nie umiemy odgadnąć. Bo przecież tylu jest u nas pracowników, obeznanych dobrze z etnografją, tylu dobrze przygotowanych do pracy poważnej naukowej. Dlaczegoż więc ich nazwisk braknie w tym roczniku? Gdyby ci, (chciałoby się ich wymienić, ale *nomina sunt odiosa*), zechcieli pracować — z pewnością nie ukazywałyby się w „Wiśle“ rzeczy, bardzo mało mające związku z etnografją polską, jakie zauważyliśmy w tym roczniku n. p. A. Freimana „Wstęp do Schachname Firdusiego“ lub „Pieśni serbskie Karadzica“ w przekładzie ś. p. D-ra Izydora Kopernickiego. Gdyby ci starsi pracownicy zechcieli pisać, z pewnością nie zamieszczałaby „Wisła“ recenzji prac, nie mających absolutnie żadnego związku z etnografją — n. p. „Documenta historica seminarii Vladislaviensis“. W jakim celu omówiono w „Wiśle“ Kochanowskiego „Kazimierza Wielkiego“, Porębowicza „Świętego Franciszka z Assyżu“ — tego nie pojmujemy. Książki te przecież nie mają nic wspólnego ani z etnografją ani z krajoznawstwem.

Kończymy już nasze uwagi nad tym rocznikiem „Wisły“, uwagi, które podyktowała nam troska o dalszy rozwój pisma. Ufamy, że nie będą nam one poczytane za złe i szczęśliwi będziemy, jeśli choć część ich, zwłaszcza ta, którą wypowiedzieliśmy pod adresem współpracowników, znajdzie życzliwy posłuch.

St. Zdziarski.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8